



**MADemoiselle**  
**COCO**

**MIŁOŚĆ ZAKŁĘTA W ZAPACHU**

**MICHELLE MARLY**

MARGINESY

Michelle Marly: *Mademoiselle Coco und der Duft der Liebe*

COPYRIGHT © Aufbau Verlag GmbH & Co. KG, Berlin 2018

(Published with Aufbau Taschenbuch; «Aufbau Taschenbuch» is a trademark of Aufbau Verlag GmbH & Co. KG)

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Urszula Pawlik

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2020

*Napisane z myślą  
o mojej przecudnej matce,  
która otworzyła przede mną świat mody.*

*Kobieta nieużywająca perfum  
to kobieta bez przyszłości.*  
Coco Chanel

PROLOG

1897

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...

Jej usta poruszały się bezgłośnie. W milczeniu liczyła kamyczki, tworzące u jej stóp mozaikę. Patrzyła w skupieniu na wydeptane, nierówne kamyki rzeczne, które przed tysiącem lat ułożono w geometryczne wzory lub mistyczne obrazy, wykonując posadzkę.

Gdzieniegdzie pięć gwiazd. Tu i ówdzie pięć kwiatów. Od czasu do czasu pięciokąt. Ten układ to z pewnością nie był przypadek. Wiedziała, że dla członków zakonu cystersów piątka stanowiła liczbę symboliczną, oznaczającą doskonałość otaczającego świata. Na przykład liczba płatków w kwiatach róż jest wielokrotnością pięciu. Jabłka i gruszki mają pięciopromienną strukturę gniazd nasiennych. Natura wyposażyła człowieka w pięć zmysłów. A modlitwy wspominały o pięciu ranach zadanych Chrystusowi. Jednak zakonnice nie nauczyły jej, że pięć to również liczba miłości i bogini Wenus, stanowiąca sumę niepodzielnej męskiej trójki i żeńskiej dwójki. Tę także interesującą dla czternastolatki informację znalazła w książce, którą czytała potajemnie na strychu.

Klasztorna biblioteka kryła zdumiewające skarby.

Nieco mniej skandaliczne, niemniej także nieprzeznaczone dla oczu podlotka, były średniowieczne kazania Bernarda z Clair-

vaux, w których mnich przypominał swoim współbraciom, jakie znaczenie mają pachnidła używane podczas rytualnych ablucji. Ten założyciel klasztoru cystersów radził im nawet przywoływać w myślach obraz perfumowanych piersi Maryi Dziewicy, opiewanych w Pieśni nad Pieśniami. Kadzidło i jaśmin, lawenda i róża na ołtarzu miały swoim zapachem ułatwiać kontemplację.

Zarówno dla osieroconych małych dziewczynek, jak i dla samotnych młodych dziewcząt, takich jak ona, pachnidła wytwarzane z roślin pochodzących z przyklasztornego ogrodu były jedynie nieosiągalnym marzeniem. Podobnie jak pragnienie przytulenia się do obfitego biustu ukochanej matki.

Przed rozpoczęciem pracy w polu lub w kuchni wychowanki szorowano regularnie tanim mydłem w cebrzykach wypełnionych zimną wodą, żeby roztaczały woń czystości, a nie potu, strachu czy zmęczenia. Lecz w żadnym wypadku nie chodziło tu o zapach, a jedynie o wyeliminowanie nieprzyjemnej woni, charakterystycznej dla brudnych, spracowanych ciał. O wiele lepiej niż ich skórę traktowano szorstkie białe prześcieradła, prane, w razie potrzeby cerowane, starannie składane i układane w stosy w klasztornej pralni.

*Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...*

Stojąc w kolejce dziewcząt w oczekiwaniu na cotygodniową spowiedź, zabijała czas liczeniem. W ten sposób wypełniała ciągnącą się w nieskończoność monotonię, gdy tak tkwiły wyprostowane jedna obok drugiej niczym żołnierze na placu koszarowym, po kolei podchodząc do konfesjonału. Zakładała, że zakonnice żądają od nich stania w milczeniu na bacność, czego na dłuższą metę żadne dziecko nie mogło wytrzymać, po to, żeby łatwiej wymóc na nich przyznanie się do winy. Zwłaszcza w przypadku najmłodszych dziewcząt. Praktykowały ten zwyczaj, choć z reguły żadna z nich nie popełniła od ostatniej sobotniej spowiedzi żadnego grzechu. Tu, w Aubazine, na szczycie smaganej wichrem

skąły, na której w dwunastym wieku wybudowano klasztor, nie było przecież okazji do grzechu.

Od niemal dwóch lat przyszło jej żyć wyłącznie w tym odcieciu od świata miejscu w środkowej Francji, z dala od głównej drogi prowadzącej do Paryża. Na tyle odległej, że nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby stąd uciec do dalekiej stolicy. Od śmierci matki i od momentu, w którym ojciec wsadził ją na konny wózek, by przywieźć do tego klasztoru, upłynęło już ponad siedemset długich dni. Przed ponad siedmiuset dniami porzucił ją ot tak sobie. Zostawił niczym jakiś przedmiot, który należało dowieźć w określone miejsce. Po czym zniknął na zawsze. Owa straszna chwila była dla małej zrozpaczonej dziewczynki niczym otwarcie wrót piekła. Gdy tylko dotarło do niej, co się stało, zaczęła wyglądać z utęsknieniem chwili, gdy będzie już na tyle duża, by na zawsze opuścić klasztor i rozpocząć samodzielne życie. Być może kluczem do upragnionej wolności była igła krawiecka. Kto potrafił dobrze szyć i był wystarczająco uparty, ten miał szansę dotrzeć nawet do samego Paryża i znaleźć pracę w jednym z dużych domów mody, których tam nie brakowało. Słyszała o takich przypadkach, ale nie miała pojęcia, ile w tym było prawdy.

Wszystkie opowiadane historie były niezwykle ekscytujące. Na dźwięk słów „dom mody” natychmiast ożywały w niej wspomnienia. Na myśl przychodziły jej piękne materiały, szeleszczące jedwabie, pachnące wolanty i najdelikatniejsze koronki. I to wcale nie dlatego, żeby matka kiedykolwiek była damą. Nic z tych rzeczy. Była zwyczajną praczką. Ojciec zaś obnośnym handlarzem, który nigdy nie kupował żonie niczego wytwornego czy luksusowego. Jednak widok ładnych rzeczy zawsze kojarzył jej się z *ma-man*, której bardzo jej brakowało. Tak bardzo, że na wspomnienie bezpieczeństwa, jakie czuła u jej boku, aż dostawała z tęsknoty zawrotów głowy.



Teraz jednak była zdana wyłącznie na siebie w miejscu, w którym panowała twarda dyscyplina, a za najmniejsze nawet uchybienie groziła kara, i w którym jedynie od czasu do czasu można było uzyskać od Boga odpuszczenie win. Tymczasem ona pragnęła tylko nieco ciepła i odrobiny uczucia. Czy takie pragnienie to grzech, z którego powinna się wyspowiadać? Czy ta głęboko skrywana tajemnica kiedyś do tego stopnia ją przytłoczy, że jej dusza nie zazna spokoju? Może tak będzie. A może nie. Ale nawet za cenę spokoju duszy nie wyzna swemu spowiednikowi, że w życiu pragnie jedynie miłości. W każdym razie jeszcze nie dzisiaj. I prawdopodobnie nigdy.

W milczeniu liczyła kamyki tworzące mozaikę na podłodze katedry w Aubazine. *Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...*

1919–1920

Żółte światła reflektorów przecinały unoszącą się nad Sekwaną mgłę, która jak lniana chusta otulała jesiony, olchy i buki na nadbrzeżnym bulwarze. „Niczym całun” – przemknęło przez myśl Étienne’owi Balsanowi.

Wpatrując się w mgłę, przez cały czas miał jednak przed oczami zgoła inny obraz – spoczywających na katafalku, przykrytych płótnem, straszliwie zmasakrowanych zwłok. Pokaleczonych członków i spalonej skóry. Gałązki buczyny, którą ktoś położył w nogach zmarłego. Umieszczonego na piersi krzyża. Misy ze święconą wodą koło głowy, by złagodzić choć trochę wszechobecną woń śmierci. Światła świec rzucającego upiorne cienie na ciało, którym zajęły się już zakonnice, doprowadzając je do jako takiego stanu. Na tyle, że na jego widok jakoś udawało się zapanować nad sobą.

Étienne mimowolnie próbował sobie wyobrazić, jakiemu zniekształceniu mogła ulec przystojna twarz przyjaciela. Twarz, którą znał równie dobrze jak swoją.

Uznał, że z regularnych rysów pewnie nic nie zostało. Podobnie jak z elegancko wykrojonych ust i prostego nosa. Jeśli samochód na pełnym gazie wpada w poślizg, stacza się ze skarpy, rozbija o skalną ścianę i płonie niczym pochodnia, wówczas niewiele zostaje z człowieka. W takich razach trudno znaleźć choćby jedną niepołamaną kość. Wówczas nie lada sztuką jest odtworzyć pierwotny wygląd tragicznie zmarłego.

Poczuł na policzku pełznącą w dół mokrą strużkę. Czyżby samochód był nieszczelny i deszcz dostał się do środka? Chciał włączyć wycieraczki. Szukając odpowiedniej wajchy, wykonał zbyt gwałtowny ruch i auto wpadło w poślizg. Gdy w panice nacisnął hamulec, na boczną szybę bryzgnął strumień błota. W końcu usłyszał charakterystyczny dźwięk towarzyszący tarcia gumy o szkło. Zdziwiony zauważył, że nie pada. To nie był deszcz, lecz jego własne łzy. Nagle poczuł ogromne zmęczenie i przejmującą rozpacz. Ogarnęło go potworne znużenie, któremu towarzyszyła niemoc, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie doświadczył. Ale jeśli nie chciał skończyć jak jego przyjaciel, musiał natychmiast wziąć się w garść i skoncentrować na drodze.

Samochód stał w poprzek jezdni. Étienne całą siłą woli wyrównał oddech, wyłączył wycieraczki i zacisnął dłonie na kierownicy. Gdy nacisnął pedał gazu, silnik zawył jak nigdy dotąd, powodując obrót kół. Ostrożnie wycofał automobil, wracając na właściwy pas ruchu, z którego wypadł wskutek nieostrożnego gestu. Zauważył, że serce już się uspokoiło. Na szczęście dawno minęła północ i o tak późnej porze na drodze nie było żadnego ruchu.

Skoncentrował wzrok na jezdni. Miał nadzieję, że nie napotka żadnego nocnego zwierzęcia. Ostatnią rzeczą, na którą miałby ochotę, było przejechanie lisa. I jeśli już miałby go pozbawić życia, to nie w ten sposób, lecz na polowaniu, celnym strzałem z końskiego siodła. Tego samego zdania byłby z pewnością zmarły przyjaciel, który tak samo kochał konie i polowania. To właśnie te dwie pasje zbliżyły ich do siebie. Arthur Capel, wieczny chłopiec, do którego na zawsze przylgnął nadany mu w dzieciństwie przydomek „Boy”, fantastycznie grał w polo. Boy, radosny bon vivant. Inteligentny, ocytany, szarmancki. Dżentelmen w każdym calu. Brytyjski dyplomata. Bohater wojenny, awansowany za zasługi na polu bitwy do stopnia kapitana. Człowiek, którego każdy chętnie chciałby

móc nazwać przyjacielem. Będąc najstarszym i najlepszym przyjacielem Boya, Étienne mógł się uważać za szczęśliwca. Mógł...

Po opalonych policzkach Étienne'a ponownie popłynęły łzy. Nie oderwał jednak rąk od kierownicy, żeby je zetrzeć. Teraz, jeśli chce szczęśliwie dojechać do Saint Cucufa, nie powinien zaprzątać sobie głowy wspomnieniami, lecz koncentrować się na prowadzeniu wozu. Ta jazda to ostania przysługa, którą mógł wyświadczyć zmarłemu przyjacielowi. Musiał zdążyć przekazać Coco tę straszną wiadomość, zanim jeszcze wydrukują ją poranne gazety lub zanim dowie się od którejś z plotkarek przez telefon. To, co go czekało, nie było ani łatwe, ani przyjemne. Jednak musiał spełnić ten obowiązek najlepiej i najdelikatniej, jak potrafił. Tak, jak mu dyktowało serce.

Coco była wielką miłością Boya. Była. Co do tego nie istniał cień wątpliwości. Dla nikogo. A już najmniej dla Étienne'a. To przecież on poznał ich ze sobą pewnego lata w swojej posiadłości. Powodem przyjazdu Boya do Royallieu były konie, a pozostania na dłużej – Coco. Pomimo że wówczas była jego przyjaciółką. Choć tak naprawdę nie do końca. Wówczas Coco była prostą dziewczyną z garnizonowego miasteczka Moulins. Wieczorami występowała na scenie podejrzanego teatrzyku, śpiewając wielce dwuznaczne piosenki, a za dnia cerowała spodnie oficerom, którym nocami dotrzymywała towarzystwa. Delikatna, o chłopięcej sylwetce, piękna jak obrazek, wesoła, krucha, a przy tym niezwykle odważna i energiczna. Całkowite przeciwieństwo *grande dame*, wzoru dla niemal wszystkich młodych kobiet z czasów belle époque.

Étienne zabawiał się z nią, a następnie przyjął ją pod swój dach, gdy nieoczekiwanie pojawiła się na progu jego domu. Jednak nie zmienił dla niej dotychczasowego stylu życia. Na początku nie chciał nawet widzieć jej u swego boku. Lecz ona była uparta i doprowadziła do tego, że stała się częścią jego życia. Przez rok,

dwa lata... Dziś nawet nie potrafił sobie przypomnieć, jak długo to trwało, zanim ją zauważył i uczynił swoją towarzyszką. W zasadzie dopiero Boy otworzył mu oczy. Dopiero dzięki niemu zauważył, jaka jest wspaniała, piękna i zarazem silna. Lecz wówczas było już za późno. Wówczas odstąpił Boyowi swoją metresę, która nawet nie była jego stałą kochanką. Postąpił dokładnie tak, jak to było w zwyczaju w jego kręgach przed wielką wojną. Właśnie wtedy stał się jej przyjacielem, pozostając nim aż do ostatniego tchnienia Boya. I przysiągł, że nadal nim pozostanie.

\* \* \*

Wreszcie musi przestać się denerwować i skończyć z tą niedorzeczną gonitwą myśli.

Od kilku godzin Gabrielle wierciła się w łóżku, przewracając się z boku na bok. Od czasu do czasu zapadała w płytki, niespokojny sen, z którego po chwili budziła się z lękiem, skołowana, nie mogąc sobie przypomnieć, co jej się śniło. Po czym odruchowo wyciągała rękę w stronę drugiej połowy łóżka, żeby dotknąć znajomego ciała, zapewniającego jej poczucie bezpieczeństwa. Jednak leżąca obok poduszka była pusta, a pościel nietknięta. Wówczas sen ulatywał.

Oczywiście, że Boy nie mógł teraz spać przy niej, gdyż wczoraj - a może przedwczoraj - wyjechał do Cannes, żeby wynająć dom, w którym mieli wspólnie spędzić święta. To miał być prezent gwiazdkowy. Kochała Riwierę i perspektywa spędzenia tam świąt z ukochanym mężczyzną znaczyła dla niej bardzo wiele. W te dni miał być z nią, a nie z żoną i córką. Wspominał nawet, że zamierza się rozwieść.

Miała do niego dołączyć, gdy tylko Boy znajdzie odpowiednią willę. Jednak nie zadzwonił. Nie przysłał nawet telegramu z krótką informacją, że dotarł szczęśliwie na miejsce.

A może zmienił zdanie?

Od dnia jego ślubu przeszło półtora roku temu Gabrielle co rusz nachodziły wątpliwości. Początkowo była skonsternowana i całkowicie wytracona z równowagi, gdyż wybrał kobietę, która ucieleśniała to wszystko, czego jej brakowało. Zupełnie inną niż ona – wysoką blondynkę, równie bladą co zblazowaną zamożną arystokratkę, należącą do najwyższych kręgów brytyjskiej szlachty. Małżeństwo z nią zapewniło Boyowi awans społeczny i wyniosło go na sam szczyt drabiny towarzyskiej. Chociaż i bez tego jego pozycja była wystarczająco silna. Jako syn wpływowego mieszczanina, bogatego armatora z Brighton, zrobił błyskotliwą karierę polityczną, stając się doradcą prezydenta Francji Clemenceau oraz delegatem na konferencję pokojową w Wersalu. Do czego zatem potrzebna mu była arystokratyczna żona?

W momencie ślubu Boya byli ze sobą już od dziesięciu lat, i Gabrielle liczyła na to, że pewnego dnia się pobiorą. Czyż nie była dobrą partią? No cóż, na swoje marne pochodzenie najchętniej spuściłaby ciemną, gęstą zasłonę. Mimo że pochodziła z najniższych warstw społeczeństwa, wspięła się na jego szczyt, osiągnęła sławę, pewną pozycję i odniosła niekwestionowany sukces. Jako Coco Chanel była bezdyskusyjnie najślawniejszą projektantką mody i do tego zamożną kobietą.

Zaczynała jako modystka z niewielkim kredytem, którego udzielił jej dawny kochanek Étienne Balsan. Jej proste i zarazem wytworne modele szybko zwróciły uwagę paryżanek. Żadnych piór ani bombastycznych ozdób. Wręcz przeciwnie. Spokojny, elegancki styl i prostota jej kapeluszy, tak różne od dotychczasowego trendu, zachwyciły damy z towarzystwa. Prawdziwą furorę robiły też jej obszerne, swobodnie opadające marynarskie bluzy, które zaprojektowała w Deauville. Gabrielle odrzuciła gorsety i zaczęła szyć damskie spodnie. A gdy po wielkiej wojnie nastały chude lata, odważyła się – całkiem pragmatycznie – kreować

proste, funkcjonalne sukienki z niedrogiego jedwabnego dżerseju oraz wieczorowe garnitury, w których kobiety czuły się zarówno wygodnie, jak i sztywno. A co najważniejsze, mogły swobodnie biec do piwnic, gdy ogłaszano alarm ostrzegający przed nalotem Niemców. Wytworne damy dosłownie wrywały sobie z rąk jej minimalistyczne kreacje. Niemal wszystkie liczące się w towarzystwie kobiety, ba, nawet najbardziej utytułowane arystokratki, przychodziły do Gabrielle, by ubierać się u Coco Chanel.

Do czego zatem był potrzebny Boyowi akt ślubu z jakąś tam arystokratką, nawet najwyższej rangi? Gabrielle wdrapała się wysoko o własnych siłach, zdobyła rozgłos i wyrobiła sobie nazwisko. Jak mógł poświęcić wielką miłość dla kariery, będąc i tak od dawna u jej szczytu? Tego nie potrafiła zrozumieć. I nigdy nie zrozumie. Gorzki zawód był powodem jej ustawicznego strapienia, spalającego ją niczym postępujące suchoty.

Po jakimś czasie wrócił do niej. Łącząca ich więź była silniejsza niż złote obrączki, które wymienili z Dianą Wyndham, córką lorda Ribblesdale'a. Ma się rozumieć, że nie od razu rzuciła mu się na powrót w ramiona. W końcu jednak doszła do wniosku, że lepiej zaakceptować nową rolę metresy niż zrezygnować z Boya. Przyjęła tę dewizę jako swoją filozofię, którą uczyniła sposobem na życie. Zresztą, co przemawiało przeciwko takiemu układowi? Nic. A może jednak? Mimo że wszystko było w najlepszym porządku, duszę jej wciąż zżerały wątpliwości niczym mole kosztowną tkaninę.

Boy praktycznie nie żył z żoną, gdyż większość czasu spędzał w Paryżu. Naturalnie od czasu do czasu musiał się z nią pokazać w towarzystwie. W takich razach Gabrielle pozwalała mu odchodzić, gdyż nabrała już pewności, że zawsze do niej wróci. Ich miłość była ponad wszystko. To uczucie trwało – mimo burz i przeciwności losu – od dziesięciu lat i nigdy nie przeminie. Jeśli



coś miało trwać wiecznie, to więź między nimi. Tego Gabrielle była całkowicie pewna. A jednak od czasu do czasu nachodziły ją najczarniejsze myśli, strącając z nieba na dno piekła niczym Lucyfera. Takie jak tej nocy.

Przewróciła się na drugi bok. Odrzuciła kołdrę, by po chwili naciągnąć ją pod samą brodę, gdyż zrobiło jej się zimno.

Dlaczego Boy od wyjazdu nie dał znaku życia? Czyżby magia Bożego Narodzenia sprawiła, że przypomniał sobie o dziewięciomiesięcznej córce? Czy tak był zaprzątnięty myślami o rodzinie, że odsunął od siebie wspomnienie pozostawionej w Paryżu kochanki? Czy nie pojechał na południe Francji w celu znalezienia odpowiedniego domu dla niej, lecz po to, żeby pogodzić się z żoną? Ale przecież tuż przed wyjazdem wspomniął o rozwodzie. Gabrielle poczuła, że ogarnia ją panika. Teraz już nie mogło być mowy o śnie.

Mimo to pozostała w łóżku. Nie zapaliła lampki na nocnym stoliku. Nie sięgnęła też po interesującą książkę, żeby rozproszyć natrętne myśli. Pozwoliła się dręczyć demonom, niezdolna zająć się czymkolwiek. W końcu jednak zwyciężyło znużenie i ponownie zapadła w ciemność, w płytki, niespokojny sen...

Obudził ją charakterystyczny chrzęst opon na żwirowym podjeździe, którego nie dało się pomylić z żadnym innym dźwiękiem. Z całą pewnością były to opony kół hamującego na nierównej powierzchni samochodu. Przez zamknięte okno sypialni dotarły do uszu Gabrielle wyraźne odgłosy, zakłócając nocną ciszę. Następnie rozległo się szczekanie psów.

W półśnie pomyślała od razu: „Boy!”.

Zastanawiała się uradowana, czy wrócił po nią. Zapewne nie chciał, żeby sama jechała na południe. Zadrżała z radości. Tylko Boy mógł wpaść na tak zwariowany pomysł. To było takie do niego podobne. I za to tak bardzo go kochała. Przecież to zupełnie bez znaczenia, gdzie spędzą Boże Narodzenie – na południu

Francji czy tutaj, w Saint Cucufa, w położonej na uboczu willi. W La Milanaise, gdzie latem pachniały bzy i róże, zimą było trochę ponuro. Dlatego też zdecydowali się pojechać na Côte d'Azur. Ale tak naprawdę ponuro było jedynie tam, gdzie nie przebywali razem. Dlaczego od razu nie wpadło jej to do głowy?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

- Mademoiselle Chanel? - Za drzwiami rozległ się jednak nie głos jej ukochanego, lecz służącego, Josepha Leclerca.

Natychmiast zerwała się na równe nogi.

\* \* \*

Étienne Balsan znał równie dobrze jak samego siebie nie tylko Boya Capela, lecz także Coco, z którą był w tak samo zażyłych stosunkach jak ze zmarłym przyjacielem. Gdy weszła do salonu, do którego zaprowadził go Joseph, pomyślał w pierwszej chwili, jak niewiele się zmieniła w ciągu tych trzynastu lat, które upłynęły od ich pierwszego spotkania. Pomimo trzydziestu sześciu lat wciąż wyglądała młodzieńczo. Niemal chłopięco - mała, filigranowa, płaska z przodu, o wąskich biodrach, z czarnymi niczym laka, krótko obciętymi włosami, które teraz były potargane, jakby dopiero co wyskoczyła z namiętnych objęć kochanka. Nie pamiętał już, jak gorące ciało kryła jedwabna biała piżama. Nie mógł sobie także przypomnieć, dlaczego uważał ją za nieerotyczną i androgeniczną.

Gdy spojrział jej w oczy, nagle ogarnął go strach, gdyż ujrzał w nich śmierć.

Gabrielle zawsze doskonale ukrywała swoje uczucia pod maską obojętności. Jednak jej ciemne oczy niekiedy pozwalały wejrzeć w głąb duszy tej kruchej i zarazem jakże silnej kobiety. Teraz malowały się w nich ból, zwątpienie i niesamowita udręka. Jednak nie było w nich ani jednej łzy.

Stała tak, milcząc, w białej piżamie niczym Maria Antonina u stóp gilotyny. To było straszne. Gdyby szlochała, Étienne wiedziałby, jak się zachować. Wówczas mógłby wziąć ją w ramiona. Na widok jej cichego cierpienia i suchych oczu krajało mu się serce. Stał jednak bez ruchu, nie wiedząc, co zrobić.

- Bardzo mi przykro z powodu tego najścia w środku nocy - zaczął niepewnie. Po czym chrząknął cicho i kontynuował, jękając się: - Pomyślałem, że jestem to winien Boyowi... żeby ci przekazać... Lord Rosslyn dzwonił z Cannes... - Przerwał i wciągnął głęboko powietrze. Dalsze słowa nie chciały mu przejść przez usta. Nie spodziewał się, że będzie to aż tak trudne. - Boy miał straszny wypadek. Jego wóz wypadł z drogi. Boy prowadził. Towarzyszący mu mechanik siedział obok, w fotelu pasażera. Mansfield został ciężko ranny... Ale Boya nie udało się uratować.

A więc wreszcie wyrzucił to z siebie. Ona jednak nie zareagowała.

Chwilę potem Étienne uświadomił sobie, że przecież służący Coco z pewnością przekazał jej już wcześniej tę tragiczną wiadomość. Naturalnie. Wszak to Joseph musiał jej wyjaśnić powód, dla którego obcy mężczyzna wtargnął do jej domu w środku nocy, domagając się wyciągnięcia mademoiselle z łóżka. Ale czemu nic nie mówi?

Chcąc przerwać nieznośną ciszę, Étienne kontynuował:

- Policja prowadzi dochodzenie... Do tej pory nie wiadomo, co dokładnie się wydarzyło ani jak do tego doszło. W każdym razie w Paryżu nic jeszcze się nie mówi o szczegółach. Jedynie tyle, że wypadek był gdzieś na Riwierze. Wygląda na to, że zawiodły hamulce...

- Mademoiselle wszystko zrozumiała, monsieur - wszedł mu w słowo Joseph, przerywając w połowie zdania.

Zaniepokojony Étienne skinął głową. Jeszcze nigdy nie czuł się tak niezręcznie, patrząc na łkającą kobietę, której oczy pozo-

stały suche. Nie uroniła ani jednej łzy, pomimo że z całego jej ciała emanowały szok i zwątpienie. Widział, jak ogarnia ją coraz większa rozpacz. Jak bardzo cierpi. A mimo to nie płakała.

Po chwili odwróciła się i w milczeniu opuściła pokój. Trząśnięcie zamykanych drzwi zabrzmiało niczym wystrzał.

Został sam, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

- Czy mógłbym panu coś zaproponować, monsieur? - zapytał Joseph. - Może filiżankę kawy?

- Chętnie wypiłbym lampkę koniaku. Podwójną, proszę.

Obejmując palcami pękaty kieliszek, by ogrzać znajdujący się w nim bursztynowy płyn, Étienne zauważył, że służący nie żałował alkoholu.

Wtem drzwi salonu otworzyły się z impetem. Stała w nich Coco. Tym razem ubrana w kostium podróżny, którego spódnica sięgała kostek, z płaszczem przerzuconym przez ramię i nesese-rem w ręce, do którego najwidoczniej zapakowała najpotrzebniejsze rzeczy. Jedynym widocznym znakiem jej napięcia były zbieżne kostki palców mocno zaciśniętych na uchwycie niewielkiej walizeczki.

- Możemy jechać - oznajmiła stanowczo.

Zaskoczony Étienne popatrzył na nią i potrząsnął głową. Wytrzymała jego spojrzenie, nie mówiąc ani słowa.

W akcie całkowitej bezradności przytaknęła skinieniem głowy, powodowany niewytłumaczalnym impulsem. Zupełnie jakby wiedział, dokąd Coco się wybiera, choć w rzeczywistości nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie zamierza jechać w środku nocy.

Pociągnął łyk koniaku, mając nadzieję, że odczuje kojące działanie alkoholu. Daremnie. Zamiast się uspokoić, poczuł drżenie dłoni trzymającej kieliszek.

- Masz na myśli mnie? - W jego głosie słychać było wahanie, niedowierzanie, irytację i niepewność. Zapewne lepiej by było,

gdyby pojechała ze swoim szoferem tam, dokąd właśnie planuje się udać.

- Jedziemy na Riwierę. - Ponownie usłyszał stanowczy ton, zupełnie niepasujący do jej upiornego wyglądu. - Muszę go zobaczyć. Chciałabym wyruszyć natychmiast. Étienne!

- Co takiego?! - Wciągnął powietrze, po czym ponownie wypił solidny łyk trunku. - Nie masz pojęcia, jakie to niebezpieczne przy tej pogodzie. Jest ciemno i mglisto...

- Niedługo się rozwidni. Nie traćmy czasu. Mamy przed sobą długą drogę na Côte d'Azur.

Po tych słowach skierowała się do wyjścia.

Étienne i Joseph wymienili niepewne spojrzenia. Dlaczego nie wezwała szofera i nie poleciła mu przygotować wszystkiego do drogi, tak żeby mogli wyruszyć o świcie? Czy przyjacielski obowiązek i lojalność wobec zmarłego sięgały aż tak daleko, żeby w imię spełnienia szaleńczego pomysłu Coco gnać na drugi koniec Francji? Ale ona wcale nie jest szalona, pomyślał. Tylko zrozpaczona.

Bez słowa podążył za nią w ciemność nocy.

Paryż, 1919 rok. Coco Chanel jest już ikoną stylu, a kobiety – nawet z najwyższych kręgów towarzyskich – rywalizują o jej odważne kreacje, symbol nowoczesnej kobiety, zmysłowej nawet w spodniach. Kiedy wydaje się, że ma już wszystko, w tragicznym wypadku gnie jej ukochany. Coco wpada w depresję.

Przyjaciele boją się, że Chanel wycofa się z życia. Podczas podróży do Wenecji rosyjski impresario podaje jej chusteczkę, która pachnie najbardziej odurzającymi perfumami, jakie kiedykolwiek czuła. To stworzona dla rodziny carskiej esencja, nieosiągalna po rewolucji. Coco nie ma wątpliwości: chce odtworzyć ten zapach na pamiątkę po swoim kochanku.

Wraca do Paryża i nawet najwspanialsze przyjęcia nie są w stanie oderwać jej od poszukiwań. Wtedy spotyka charyzmatycznego księcia Dymitra Romanowa, bratanka cara Mikołaja II, który pomaga jej zrealizować marzenie. Czy Coco, szukając zapachu miłości, spotka inną miłość?

OPARTA NA PRAWDZIWYCH WYDARZENIACH POWIEŚĆ  
O POWSTANIU NAJSŁYNNIEJSZYCH NA ŚWIECIE PERFUM

## CHANEL NO 5

I O KOBIECIE, KTÓRA ZAWSZE ROBIŁA, CO CHCIAŁA.

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788366 500501

cena 39,90 zł

w sprzedaży także

